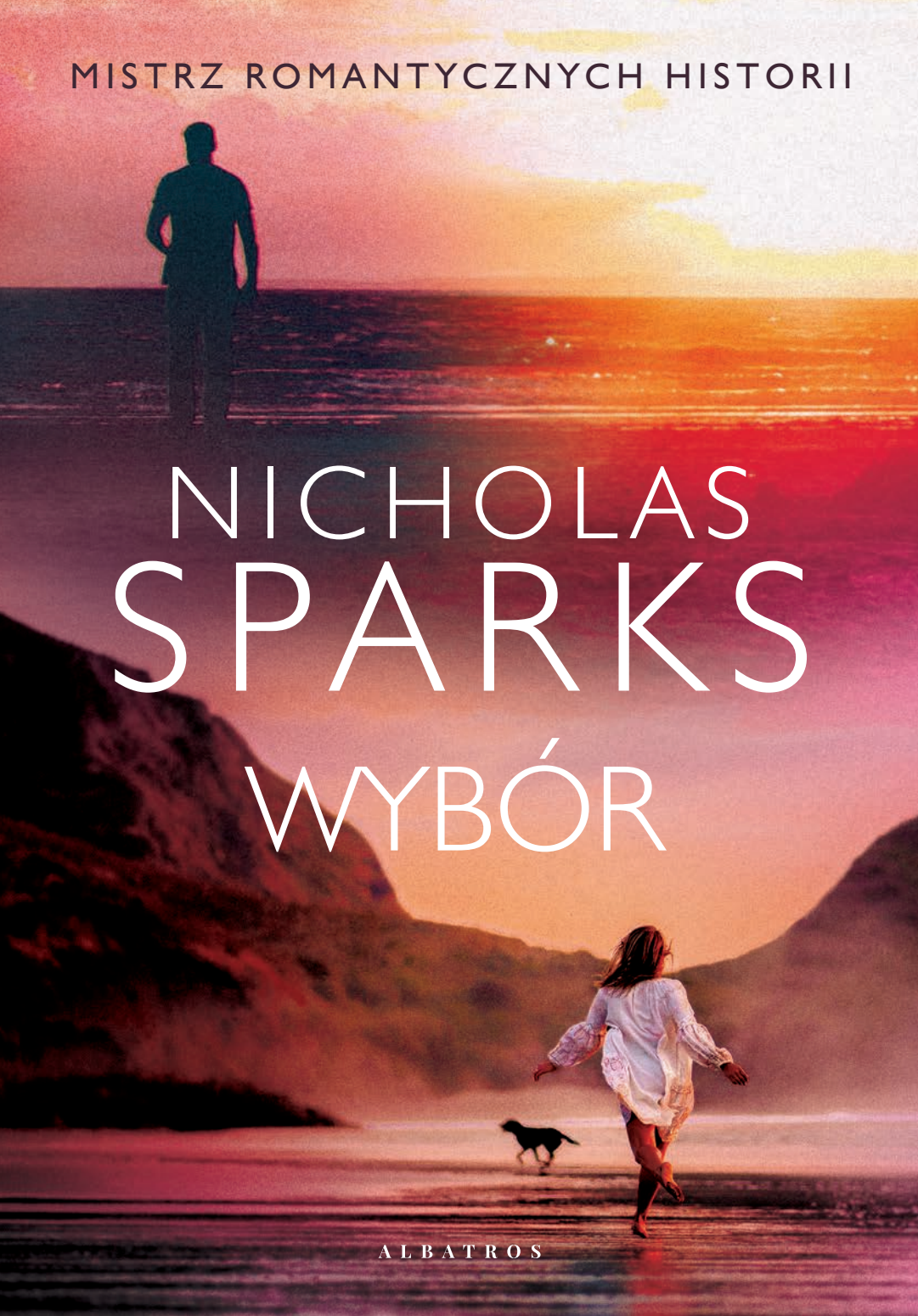


MISTRZ ROMANTYCZNYCH HISTORII



NICHOLAS  
SPARKS  
WYBÓR

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE CHOICE

Copyright © Nicholas Sparks 2007  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Elżbieta Zychowicz 2008

Redakcja: Joanna Morawska

Zdjęcia na okładce: Ben Mack/Pexels.com (kobieta), Rich Lock/StockSnap.io  
(mężczyzna)

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

# Prolog

*Luty 2007*

Historie są równie niepowtarzalne jak ludzie, którzy je opowiadają, a do najciekawszych należą te, które mają niespodziewane zakończenie. Przynajmniej tak zwykł mawiać ojciec Trávisa Parkera, kiedy ten był dzieckiem. Travis pamiętał, jak wieczorem tata przysiadł obok niego na łóżku, a jego twarz rozjaśniała się w uśmiechu, gdy chłopiec błagał go o jakąś opowieść.

– Jaką historię chcesz usłyszeć? – pytał ojciec.

– Najciekawszą na świecie – odpowiadał Travis.

Przeważnie tata siedział przez kilka minut w milczeniu, po czym w jego oczach pojawiał się błysk. Obejmował Trávisa ramieniem i doskonale modulowanym głosem zaczynał opowiadać historię, która nie pozwalała chłopcu zasnąć jeszcze długo po tym, gdy ojciec zgasił światło. Zawsze była w niej przygoda, niebezpieczeństwo, podniecające wydarzenia i podróże po okolicach Beaufort, małego nadbrzeżnego miasteczka w Karolinie Północnej, jak i po samym miasteczku, w którym Travis Parker dorastał i które wciąż uważał za swój dom. Co dziwne, w większości tych opowieści występowały niedźwiedzie. Grizzly, niedźwiedzie

brunatne, grizzly kodiackie... Tata nie był najlepiej zorientowany, jeśli chodzi o naturalne środowisko niedźwiedzi. Koncentrował się na jeżących włos na głowie scenach pościgu przez piaszczyste tereny nizinne, czego skutkiem były dręczące Trávisa koszmarne sny o rozwścieczonych niedźwiedziach polarnych na Shackelford Banks, aż mniej więcej do połowy gimnazjum. Jednakże bez względu na to, jak bardzo przerażały go te historie, zadawał nieuniknione pytanie: „I co było potem?”.

Tamte dni wydawały się Travisowi niewinną pozostałością innej epoki. Miał obecnie czterdzieści trzy lata i kiedy zostawiał samochód na parkingu szpitala Carteret General Hospital, gdzie jego żona pracowała przez dziesięć ostatnich lat, przypominał sobie słowa, którymi kiedyś nieodmiennie wiercił dziurę w brzuchu ojcu.

Wysiadł z samochodu, biorąc kwiaty. Kiedy po raz ostatni rozmawiał z żoną, pokłócili się, a teraz uczyniłby wszystko, żeby móc cofnąć swoje słowa. Nie miał złudzeń, że kwiaty nic tu nie pomogą, ale żaden inny pomysł nie przyszedł mu do głowy. Rozumiało się samo przez się, że czuł się winny z powodu tego, co zaszło, lecz żonaci przyjaciele zapewniali go, że wyrzuty sumienia są kamieniem węgielnym każdego dobrego małżeństwa. To oznaczało, że sumienie działa, wartości pozostają w wielkim poszanowaniu, w miarę możliwości unika się przyczyn poczucia winy. Przyjaciele czasami przyznawali się do niepowodzeń w tej szczególnej sferze i Travis doszedł do wniosku, że to samo można powiedzieć o każdej parze, którą znał. Przypuszczał, że mówili to, by poprawić mu samopoczucie, by go uspokoić, że nikt nie jest doskonały, że nie powinien być dla siebie taki surowy. Wszyscy

popęlniają błędy, przekonywali go, i chociaż kiwał głową, jak gdyby im wierzył, zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zrozumieją, co przeżywa. Nie mogą. Przecież ich żony co noc śpią obok nich, nigdy nie byli rozłączeni na trzy miesiące, nigdy nie zastanawiali się, czy ich małżeństwo jeszcze kiedykolwiek będzie takie jak kiedyś.

Idąc przez parking, myślał o obydwu córkach, o pracy, o żonie. W tym momencie te myśli nie przynosiły mu pociechy. Miał uczucie, że nie wie gdzie mu się w żadnej dziedzinie życia. Ostatnio szczęście wydawało mu się równie odległe i niedosiężne jak podróż kosmiczna. Nie zawsze czuł się w ten sposób. Pamiętał, że przez bardzo długi czas był bardzo szczęśliwy. Lecz okoliczności się zmieniają. Ludzie się zmieniają. Zmiana jest jednym z nieuniknionych praw natury wyciskających piętno na życiu ludzi. Popęlnia się błędy, odczuwa się żal, a pozostaje tylko coś, co sprawia, że zwykłe wstawanie z łóżka przychodzi z ogromnym trudem.

Pokręcił głową i podszedł do drzwi wejściowych szpitala, wyobrażając sobie, że jest tym dzieckiem, które słuchało kiedyś opowieści ojca. Pomyślał, że jego własne życie to historia, która powinna mieć szczęśliwe zakończenie. Kiedy kładł dłoń na klamce, jak zwykle w jego pamięci odżyły wspomnienia i żal.

Dopiero później, gdy znowu poddał im się bez reszty, pozwolił sobie zastanawiać się, co będzie dalej.

# Rozdział 1

*Maj 1996*

– Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego zgodziłem się ci pomóc – burknął Matt, zaczerwieniony na twarzy, pchając wannę spa w stronę niedawno wyciętego kwadratu w drugim końcu tarasu na tyłach domu. Stopy mu się ślizgały, pot spływał z czoła do kącików oczu, szczypiąc niemiłosiernie. Było gorąco, znacznie zbyt gorąco na pierwsze dni maja. A już bez wątpienia cholernie za gorąco na taką gimnastykę. Nawet pies Trávisa, Moby, ukrył się w cieniu i leżał tam z wywieszonym jęzorem, dysząc.

Travis Parker, który popychał ogromne pudło z boku, wzruszył ramionami.

– Ponieważ myślałeś, że to będzie niezły ubaw – odrzekł. Naparł na nie z całej siły i pchnął. Wanna – która musiała ważyć ze dwieście kilo – przesunęła się o kilka centymetrów. W tym tempie powinna znaleźć się na miejscu, och... gdzieś w przyszłym tygodniu.

– To idiotyczne – powiedział Matt, nacierając na kadez całym ciężarem i myśląc, że przydałaby się para mułów. Ból pleców dobijał go. Przez chwilę wyobraził sobie, że urywa mu z wysiłku

uszy, które wystrzelają z obu stron głowy niczym rakiety z butelek, które odpalali z Travisem, gdy byli dziećmi.

- Już to mówiłeś.
- I wcale nie jest to ubaw.
- To też mówiłeś.
- I nie będzie łatwo jej zainstalować.

– Właśnie, że będzie – zaprzeczył Travis. Wskazał na napis na pudle. – Widzisz? Tu jest napisane: „Łatwa w montażu”. – Ze swojego miejsca pod cienistym drzewem, Moby – rasowy bokser – zaszczekał, kiwając łbem na znak potwierdzenia, a Travis uśmiechnął się, wyraźnie bardzo z siebie zadowolony.

Matt zmarszczył brwi, usiłując złapać oddech. Nienawidził tej miny przyjaciela. No cóż, nie zawsze. Zazwyczaj bardzo lubił jego bezgraniczny entuzjazm. Ale nie dziś. Stanowczo nie dziś.

Matt sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął z niej bandanę. Była kompletnie mokra od potu, co, rzecz jasna, odbiło się na wyglądzie jego spodni. Wytarł nią twarz i wyżał szybkim ruchem. Pot kapał z chustki na wierzch jego buta jak woda z ciekącego kranu. Matt gapił się na to niemal jak zahipnotyzowany, aż w końcu poczuł, jak wilgoć przesiąka przez lekki siatkowy materiał, a palce u nogi zaczynają mu się lepić. Po prostu cudownie, prawda?

– Jeśli dobrze sobie przypominam, zapewniałeś mnie, że Joe i Laird pomogą nam przy twojej małej inwestycji, Megan i Allison przygotują hamburgery, napijemy się piwa, a zamontowanie tej rzeczy – no właśnie! – zajmie góra dwie godziny.

- Już jadą – rzekł Travis.
- Mówiłeś to cztery godziny temu.
- Są po prostu trochę spóźnieni.

– Może wcale do nich nie zadzwoniłeś.  
– Oczywiście, że zadzwoniłem. I obiecuję, że przyprowadzą również dzieci.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– Aha – mruknął z przekąsem Matt, wpychając bandanę z powrotem do kieszeni. – À propos... zakładając, że nie zjawią się wkrótce, to właściwie jakim cudem mamy we dwóch opuścić tego grzmota na miejsce?

Travis tylko machnął lekceważąco ręką, po czym po raz kolejny napał na wannę.

– Coś wymyślimy. Zobacz, jak świetnie poradziliśmy sobie do tej pory. Jesteśmy prawie w połowie drogi.

Matt znowu spojrzał na niego spode łba. To była sobota... sobota! Jego dzień odpoczynku, relaksu, jego szansa ucieczki od codziennej harówki, przerwa, na którą zasługuje po pięciu dniach pracy w banku, dzień, który jest mu niezbędnie potrzebny. Na miłość boską, jest doradcą kredytowym! Powinien przekładać papiery na biurku, a nie przesuwac ogromne wanny! Mógłby w tej chwili oglądać mecz bravesów z dodgersami! Mógłby grać w golfa! Mógłby wylegiwać się na plaży! Mógłby pospać sobie dłużej z Liz, a potem pojechać z nią do jej rodziców, jak to było ich zwyczajem niemal w każdą sobotę, zamiast zrywać się bladym świtem z łóżka i ciurkiem przez osiem godzin pracować fizycznie pod piekącym południowym słońcem...

Zreflektował się. Kogo on próbuje oszukać? Gdyby nie było go tutaj, z pewnością spędziłby dzień z rodzicami Liz, co – jeśli miał być zupełnie szczery – było główną przyczyną, dla której przystał



na prośbę Trávisa. Ale nie o to chodziło. Chodziło o to, że nie miał ochoty się z tym szarpać. Naprawdę nie.

– Nie mam ochoty się z tym szarpać – powiedział. – Serio.

Travis zdawał się go nie słyszeć. Położył dłonie na wannie, przyjmując odpowiednią pozycję.

– Gotów?

Rozgoryczony Matt zapał się ponownie ramieniem, nogi się pod nim trzęsły. Trzęsły! Wiedział już, że nazajutrz rano będzie potrzebował podwójnej dawki środka przeciwbólowego. W przeciwieństwie do Trávisa nie ćwiczył cztery razy w tygodniu w siłowni, nie grywał w kometkę, nie biegał, nie nurkował z akwalungiem na Arubie, nie surfował na Bali, nie jeździł na nartach w Vail ani nie robił innych rzeczy, które robił jego przyjaciel.

– I to żaden ubaw, wiesz?

Travis puścił do niego oko.

– Już to mówiłeś, pamiętasz?

\*

– No, no, no! – wydał okrzyk podziwu Joe, obchodząc dookoła ogromną wannę. Słońce zaczęło już chylić się ku zachodowi, złociste smugi odbijały się od wód zatoki. W oddali czapla sfrunęła z kępy drzew i z wdziękiem ślizgała się po powierzchni, rozpraszając światło. Joe i Megan wraz z Lairdem i Allison przyjechali z dziećmi przed kilkoma minutami i teraz Travis pokazywał im swoją inwestycję. – Coś fantastycznego! Zrobiliście to wszystko dzisiaj we dwóch?

Travis skinął twierdząco głową, trzymając w ręku piwo.

– Nie było tak źle – powiedział. – Matt chyba nawet dobrze

się bawił.

Joe rzucił krótkie spojrzenie na Matta, który leżał bezwładnie na fotelu ogrodowym na uboczu tarasu z mokrą chustką na głowie. Nawet jego brzuch – Matt zawsze był raczej okrągłych kształtów – wydawał się zapadnięty.

– Właśnie widzę.

– Była ciężka?

– Jak egipski sarkofag! – wychrypiał Matt. – Jeden z tych cudów, które da się ruszyć wyłącznie za pomocą dźwigu!

Joe parsknął śmiechem.

– Czy dzieciaki mogą wejść do środka?

– Jeszcze nie. Dopiero ją napełniłem i trochę potrwa, zanim woda się podgrzeje. Ale dzięki słońcu nie będziemy musieli zbyt długo czekać.

– Słońce podgrzeje ją w ciągu kilku minut! – jęknął Matt. – W ciągu kilku sekund!

Joe uśmiechnął się szeroko. Ich trzech oraz Laird chodzili razem do szkoły od zerówki.

– Ciężki dzień, Matt?

Matt zdjął chustkę i spojrzał na Joego spode łba.

– Nie masz zielonego pojęcia. I dzięki, że zjawiłeś się w porę.

– Travis kazał nam być tu o piątej. Gdybym wiedział, że potrzebna wam pomoc, przyjechałbym wcześniej.

Matt powoli przeniósł spojrzenie na Travisa. Czasami naprawdę nienawidził przyjaciela.

– Jak czuje się Tina? – spytał Travis, szybko zmieniając temat.

– Czy Megan udaje się choć trochę pospać?

Megan gawędziła z Allison przy stole w drugim końcu tarasu i

Joe zerknął przelotnie w jej stronę.

– Trochę. Kaszel już Tinie przeszedł i znowu przesypia całą noc, ale czasami odnoszę wrażenie, że Megan nie potrzebuje wiele snu. Przynajmniej od kiedy została mamą. Wstaje nawet wtedy, gdy Tina nawet nie piśnie. Można by pomyśleć, że budzi ją cisza.

– Jest dobrą matką – rzekł Travis. – Zawsze była.

Joe odwrócił się do Matta.

– Gdzie jest Liz?

– Powinna dotrzeć tu lada chwila – odparł Matt zamierającym głosem. – Odwiedziła dziś rodziców.

– Jak miło – zauważył Joe.

– Zachowuj się kulturalnie. To dobrzy ludzie.

– Przypomnę ci chyba, jak mówiłeś, że jeśli będziesz musiał jeszcze raz wysłuchać opowieści teścia o raku prostaty lub narzekań teściowej, że Henry po raz kolejny zostanie wylany z pracy, chociaż nie jest to jego wina, wsadzisz głowę do piekarnika.

Matt uczynił wysiłek, by usiąść prosto.

– Nigdy niczego takiego nie mówiłem!

– Owszem, mówiłeś. – Joe puścił oko, gdy zza rogu domu wyłoniła się żona Matta, Liz, z drepczącym przed nią Benem. – Ale nie martw się, nie pisnę słowa.

Wzrok Matta powędrował nerwowo od Liz do Joego i z powrotem do Liz. Usiłował zorientować się, czy jego żona coś słyszała.

– Witajcie wszyscy! – zawołała Liz z przyjaznym skinieniem, prowadząc małego Bena za rękę.

Udała się najkrótszą drogą do Megan i Allison. Ben wyrwał się i podreptał w stronę innych dzieci w ogródku.

Joe dostrzegł, że Matt wzdycha z ulgą. Wyszczerył zęby w szerokim uśmiechu i spytał, zniżając głos:

– Czyli... teściowie Matta. To w taki sposób namówiłeś go, żeby przyszedł ci pomóc?

– Być może napomknąłem o nich – odrzekł ze złośliwym uśmiechem Travis.

Joe wybuchnął śmiechem.

– O czym gadacie, chłopaki? – zawołał Matt z podejrzliwą miną.

– O niczym – odkrzyknęli zgodnym chórem.

\*

Później, gdy słońce zaszło i jedzenie zniknęło z talerzy, Moby zwinął się w kłębek u stóp Trávisa. Słuchając, jak dzieci pluskają się w ogromnej wannie, Travis poczuł, że ogarnia go uczucie zadowolenia. To był jego ulubiony sposób spędzania wieczoru, gdy odpoczywał wśród beztroskiego śmiechu i znajomego przekomarzania się. W jednej chwili Allison rozmawiała z Joem, w następnej gawędziła z Liz, a potem z Lairdem i Mattem. Podobnie było ze wszystkimi innymi, którzy siedzieli przy stole na tarasie. Nikt niczego nie udawał, nikt nie starał się nikomu zaimponować, nikt nie próbował nikogo ośmieszyć. Travis myślał czasami, że jego życie przypomina reklamę piwa, i na ogół był po prostu zadowolony, unosząc się na fali pozytywnych uczuć.

Co pewien czas kobiety jedna po drugiej wstawały, by zajrzeć do kąpiących się dzieci. Laird, Joe i Matt natomiast ograniczyli swoje obowiązki wychowawcze do podnoszenia chwilami głosu w nadziei, że uspokoją dzieciaki i zapobiegną wzajemnemu

dokuczaniu lub jakimś przypadkowym urazom. Oczywiście zdarzało się, że któryś z maluchów dostawał napadu złości, lecz większość problemów szybko rozwiązywano pocałunkiem w zadrapane kolano lub czułym uściskiem, który nie wprawiał dziecka w zakłopotanie.

Travis powiódł wzrokiem po siedzących przy stole, szczęśliwy, że jego przyjaciele z dzieciństwa nie tylko stali się dobrymi mężami i ojcami, lecz że nadal są częścią jego życia. Nie zawsze tak się dzieje. W wieku trzydziestu dwóch lat wiedział już, że życie bywa ryzykownym przedsięwzięciem, i przeżył wyjątkowo dużo wypadków i upadków. Niektóre z nich powinny były spowodować znacznie większe obrażenia ciała niż te, których doznał. Ale nie chodziło wyłącznie o to. Życie jest nieprzewidywalne. Wielu kolegów, z którymi dorastał, zginęło w kraksach samochodowych, ożeniło się i rozwiodło, uzależniło się od narkotyków lub alkoholu lub po prostu wyjechało z tego malutkiego miasteczka, ich twarze zatarły się już w jego pamięci. Jakie było prawdopodobieństwo, że czterech facetów – którzy znali się od zerówki – w dalszym ciągu będzie po trzydziestce spędzało ze sobą czas? Raczej niewielkie, pomyślał. Lecz jakimś sposobem przetrwali razem okres trądziku młodzieńczego, kłopoty z dziewczynami, naciski rodziców, następnie wyjechali do czterech różnych college'ów, planując różną drogę zawodową, po czym kolejno wrócili do Beaufort. Przypominali raczej rodzinę niż przyjaciół, łącznie z zawołanymi wypowiedziami i wspólnymi przeżyciami, których żadna osoba postronna nigdy nie mogła w pełni zrozumieć.

I, o dziwo, żony również świetnie się ze sobą dogadywały. Pochodziły z różnych środowisk i z różnych części stanu, lecz

małżeństwo, macierzyństwo i niekończące się małomiasteczkowe plotki dostarczały aż zbyt wielu powodów do regularnych rozmów telefonicznych i powstania więzi uczuciowych jak między dawno niewidzianymi siostrami. Laird ożenił się pierwszy – wzięli ślub z Allison latem, po ukończeniu Wake Forest. Joe i Megan stanęli na ślubnym kobiercu rok później, po tym jak zakochali się w sobie na ostatnim roku studiów na University of North Carolina. Matt, który studiował na Duke, poznał Liz tutaj, w Beaufort, i pobrali się po upływie roku. Travis był drużbą na wszystkich trzech ślubach.

Oczywiście sytuacja trochę się zmieniała w ciągu ostatnich kilku lat, głównie z powodu pojawienia się nowych członków rodziny. Laird nie zawsze mógł wybrać się na wyprawę na górskim rowerze, Joemu nie udawało się jak kiedyś wyjechać pod wpływem impulsu z Travisem na narty do Kolorado, a Matt prawie zrezygnował z dotrzymywania mu kroku w większości spraw. Ale Travis nie miał o to najmniejszej pretensji. W dalszym ciągu znajdowali dla siebie wzajemnie czas i bez planowania spędzał z nimi większość weekendów.

Pogrążony w myślach Travis nie zorientował się, że przy stole zapadła cisza.

– Czy coś przegapiłem?

– Pytałam, czy rozmawiałeś ostatnio z Monicą – odparła Megan tonem, który jasno uświadomił Travisowi, że znalazł się w tarapatkach. Uważał, że cała szóstka przyjaciół zbyt żywo interesuje się jego życiem intymnym. Kłopot z żonatymi lub zamężnymi osobami polega na tym, że ich zdaniem wszyscy znajomi powinni wstąpić w związek małżeński. Każda kobieta, z którą spotykał się Travis, była poddawana subtelnej, choć surowej ocenie, zwłaszcza

przez Megan. To ona zwykle była prowodyrem w takich chwilach jak ta, zawsze starając się rozgryźć, co najbardziej pociąga Travisa w kobietach. A Travis, oczywiście, wręcz uwielbiał działać jej w rewanżu na nerwy.

– Ostatnio nie – odpowiedział.

– Dlaczego? Jest sympatyczna.

Jak również w dużej mierze neurotyczna, pomyślał Travis. Ale nie o to chodzi.

– Zerwała ze mną, zapomniałaś?

– I co z tego? To bynajmniej nie oznacza, że nie chce, żebyś do niej zadzwonił.

– A ja sądzę, że właśnie oznacza.

Megan, Allison i Liz wpatrywały się w niego, jak gdyby był kompletnym tumanem. Mężczyźni, jak zwykle, wyraźnie mieli dobrą zabawę. Należało to do rytuału ich wieczorów.

– Ale kłóciliście się, tak?

– No to co?

– Czy przeszło ci kiedykolwiek przez myśl, że zerwała z tobą po prostu dlatego, że była na ciebie zła?

– Ja też byłem zły.

– Dlaczego?

– Chciała, żebym umówił się na wizytę z psychoterapeutą.

– Niech zgadnę, powiedziałeś, że nie potrzebujesz psychoterapeuty.

– W dniu, kiedy będę go potrzebował, zobaczycie, jak podkasuję spódnicę i robię szydełkiem szalik.

Joe i Laird parsknęli śmiechem, Megan natomiast uniosła brwi. Wszyscy wiedzieli, że Megan niemal codziennie ogląda talk-

show Oprah.

- Wydaje ci się, że mężczyźni nie potrzebują terapii?
- Wiem, że ja nie potrzebuję.
- A generalnie?
- Nie jestem generałem, toteż naprawdę nie potrafię

powiedzieć.

Megan odchyliła się na oparcie krzesła.

– Myślę, że Monica może coś wiedzieć na ten temat. Gdybyś chciał znać moje zdanie, to masz problemy z emocjonalnym zaangażowaniem się.

– Wobec tego z całą pewnością nie chcę znać twojego zdania.

Megan pochyliła się do przodu.

– Jaki był najdłuższy okres, kiedy się z kimś spotykałeś? Dwa miesiące? Cztery miesiące?

Travis zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Chodziliśmy z Olivią prawie przez rok.

– Nie sądzę, by Megan miała na myśli liceum – palnął Laird.

Czasami przyjaciół Trávisa bawiło, nazwijmy to, wpychanie go pod autobus.

– Dzięki, Laird – rzekł Travis.

– Od czego ma się przyjaciół?

– Zmieniasz temat – przypomniała mu Megan.

Travis bębnił palcami po udzie.

– Chyba musiałbym pomyśleć... Nie pamiętam.

– Innymi słowy, spotykałeś się nie na tyle długo, by zapamiętać?

– Cóż mam powiedzieć! Widocznie nie spotkałem jeszcze kobiety, która dorównywałaby którejkolwiek z was.



Mimo zapadającego zmroku, Travis dostrzegł, że Megan sprawiły przyjemność jego słowa. Dawno już odkrył, że pochlebstwa są jego najlepszą obroną w takich chwilach jak ta, zwłaszcza że jego opinia była szczerą. Megan, Liz i Allison były naprawdę fantastyczne. Ucieleśnienie dobroci, lojalności i zdrowego rozsądku.

- Cóż, tak dla twojej wiadomości, lubię ją – oznajmiła.
- Tak, ale ty lubisz wszystkie kobiety, z którymi się umawiam.
- Wcale nie. Nie lubiłam Leslie.

Żadna z żon nie lubiła Leslie. Matt, Laird i Joe natomiast nie mieli nic przeciwko jej towarzystwu, zwłaszcza kiedy nosiła bikini. Bez wątplenia ślicznotka, nie była typem kobiety, z którą Travis chciałby się ożenić, lecz podczas trwania tej znajomości świetnie się bawili.

– Uważam tylko, że powinieneś zadzwonić do Moniki – dodała Megan z uporem.

– Zastanowię się nad tym – odparł, wiedząc, że tego nie zrobi. Wstał od stołu, salwując się ucieczką. – Przynieść komuś piwo?

Joe i Laird zgodnie podnieśli butelki, pozostali pokręcili przecząco głowami. Travis ruszył w stronę turystycznej lodówki, po czym zawahał się przez moment przed rozsuwanymi drzwiami do domu. Wbiegł do środka i zmienił kompakt, a następnie słuchał dźwięków nowej muzyki, płynących nad ogródkiem, gdy niósł piwa do stolika. Megan, Allison i Liz gawędziły już o Gwen, fryzjerce, która je czesała. Gwen zawsze miała na podorędziu ciekawe opowieści, z których wiele dotyczyło niedozwolonych upodobań mieszkańców miasteczka.

Travis sączył w milczeniu piwo, spoglądając na wodę.

– O czym myślisz? – spytał Laird.

– Nieważne.

– No, powiedz.

Travis odwrócił się do niego.

– Czy zwróciłeś kiedykolwiek uwagę, że niektóre kolory są używane w nazwiskach ludzi, a inne nie?

– O czym ty mówisz?

– White i Black. Na przykład pan White, właściciel sklepu z oponami. I pan Black, jeden z naszych nauczycieli w trzeciej klasie. Albo nawet pan Green z gry Clue. Ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś nosił nazwisko Orange czy Yellow. Odnoszę wrażenie, że pewne kolory tworzą dobre nazwiska, zaś inne brzmią po prostu głupio. Rozumiesz, o czym mówię?

– Przyznaję, że nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– Mnie również. To znaczy, dopiero chwilę temu. Ale to trochę dziwne, prawda?

– Jasne – zgodził się w końcu Laird.

Obaj mężczyźni milczeli przez chwilę.

– Mówiłem ci, że to nieważne.

– Fakt, mówiłeś.

– Miałem rację?

– Tak.

\*

Kiedy mała Josie po raz drugi w ciągu piętnastu minut dostała napadu złości – a dochodziła już dziewiąta – Allison wzięła ją na rękę i rzuciła Lairdowi spojrzenie, które wyraźnie mówiło, że pora się zbierać i kłaść dzieci spać. Laird wstał bez słowa od stołu, na

co Megan popatrzyła wymownie na Joego, Liz skinęła na Matta, a Travis uświadomił sobie, że wieczór dobiegł końca. Rodzice mogą sobie myśleć, że to oni rządzą, lecz kiedy przychodzi co do czego, to dzieci ustalają reguły.

Przypuszczał, że mógłby spróbować namówić jednego z przyjaciół, by został dłużej, i zapewne udałoby mu się to, lecz już od dawna przyzwyczał się do tego, że każdy z jego kumpli ma własne życie, które toczy się innym torem niż jego. Poza tym podejrzewał, że później może wpaść do niego młodsza siostra Stephanie. Miała przyjechać z Chapel Hill, gdzie studiowała biochemię i szykowała się do zrobienia magisterium. Choć zamierzała zatrzymać się u rodziców, zwykle po przyjeździe była podekscytowana i chciała pogadać, a rodzice kładli się wcześniej spać. Megan, Joe i Liz zaczęły sprzątać ze stołu, ale Travis powstrzymał ich lekceważącym gestem.

– Zaraz to pobieram. Drobiazg.

Po kilku minutach zapakowano dzieciaki do dwóch SUV-ów i jednego minivana. Travis stał na frontowej werandzie, machając wszystkim na pożegnanie, gdy wycofywali samochody z podjazdu.

Kiedy już odjechali, Travis powędrował z powrotem do stereo, po raz kolejny przeszukał płyty kompaktowe, wybrał *Tattoo You* Rolling Stonesów, po czym włączył dźwięk niemal na pełny regulator. Idąc do swego fotela, wziął jeszcze jedno piwo i usadowił się wygodnie, opierając nogi na stole. Moby usiadł obok niego.

– Przez jakiś czas tylko ty i ja – powiedział Travis. – Jak myślisz, o której dotrze Stephanie?

Moby odwrócił się do niego tyłem. Dopóki Travis nie wymówił słów: „spacer”, „piłka”, „przejedziemy się” czy „idziemy kupić kość”, Moby nie był szczególnie zainteresowany jego

wypowiedziami.

– Uważasz, że powinienem zadzwonić do niej i dowiedzieć się, czy jest już w drodze?

Moby nadal nie reagował.

– Tak właśnie przypuszczałem. Przyjedzie, kiedy przyjedzie, i tyle.

Siedział, popijając piwo i gapiąc się w dal, na wodę. Z tyłu za nim Moby zaskowyczał.

– Mam ci porzucać piłkę? – spytał wreszcie Travis.

Moby zerwał się tak szybko, że omal nie przewrócił krzesła.

\*

Pomyślała, że to właśnie muzyka przepełniła czarę goryczy podczas tych chyba najokropniejszych tygodni w jej życiu. Głośna muzyka. Zgoda, o dziewiątej godzinie w sobotni wieczór to do przyjęcia, zwłaszcza że najwyraźniej miał gości, o dziesiątej też można jeszcze wytrzymać. Ale jedenasta? Kiedy jest sam i bawi się z psem?

Z tarasu na tyłach domu widziała, jak siedzi w tych samych szortach, które nosił przez cały dzień, ze stopami opartymi o blat stołu, rzucając piłkę i gapiąc się na rzekę. Co on sobie, u licha, myśli?

Może powinna go po prostu zignorować, zamiast wściekać się na niego. Jest u siebie, prawda? Wolność Tomku w swoim domku i tak dalej. Może robić, co mu się żywnie podoba. Lecz nie to jest problemem. Problem polega na tym, że ma sąsiadów, między innymi ją. Ona również ma swój dom, a z sąsiadami należy się liczyć. I prawdę mówiąc, posunął się zbyt daleko. Nie tylko z

powodu muzyki. Jeśli miała być zupełnie szczerą, lubiła muzykę, której słucał, i zwykle nie obchodziło jej, jak głośno ją puszcza. Kłopot stanowił jego pies, Nobby, czy jak go tam zwał. A raczej to, co zrobił jej psu.

Była pewna, że jej suczka Molly jest szczenna.

Molly, jej piękna, urocza, rasowa collie z rodowodem – kupiła ją sobie natychmiast po zakończeniu stażu na studiach dla asystentów medycznych w akademii medycznej we wschodniej Wirginii i był to pies, jakiego zawsze pragnęła mieć – zauważalnie przybrała na wadze w ciągu paru ostatnich tygodni. Lecz jeszcze bardziej zaniepokoiło ją, że sutki Molly chyba się powiększyły. Wyczuwała to palcami, ilekroć Molly przewracała się na plecy, nadstawiając brzuch do podrapania. I poruszała się teraz wolniej. Oznaczało to, że niebawem Molly wyda na świat miot szczeniąt, których nie zechce nikt na świecie. Bokser i owczarek collie? Podświadomie skrzywiła się, usiłując wyobrazić sobie, jak będą wyglądały szczenięta, po czym odpędziła od siebie tę myśl.

To musiał być pies tego mężczyzny. Kiedy Molly miała cieczkę, tamten pies obserwował ich dom niczym prywatny detektyw i od tygodni tylko jego jednego widziała wałęsającego się po okolicy. Ale czy sąsiadowi w ogóle przyszło do głowy, by ogrodzić posesję? Albo trzymać psa w domu? Lub zbudować dla niego wybieg? Nie. Jego mottem było zapewne: „Mój pies będzie wolny!”. Nie zaskakiwało jej to. Właściciel zdawał się wieść życie zgodnie z tym samym nieodpowiedzialnym mottem. W drodze do pracy widziała, jak biega, a gdy wracała, jeździł na rowerze, pływał kajakiem, szalał na łyżworolkach lub wbijał kosze na swoim podjeździe z grupką dzieciaków z sąsiedztwa. Miesiąc temu spuścił łódź na wodę i teraz

również pływał na wakeboardzie, jak gdyby nie dość jeszcze mu było aktywności. Broń Boże nie przepracował raczej minuty w nadgodzinach i wiedziała, że nie pracuje w ogóle w piątki. I jaka praca pozwala nosić na co dzień dzinsy oraz T-shirty? Nie miała pojęcia, lecz podejrzewała – z rodzajem ponurej satysfakcji – że jest wysoce prawdopodobne, iż wymaga ona fartucha i plakietki z nazwiskiem.

Zgoda, może nie jest do końca sprawiedliwa. Przypuszczalnie to całkiem sympatyczny facet. Jego przyjaciele – którzy sprawiali wrażenie zupełnie normalnych i na dodatek mieli dzieci – najwyraźniej lubili jego towarzystwo i ogromnie często go odwiedzali. Uświadomiła sobie, że dwoje z nich spotkała wcześniej w klinice, gdy ich dzieci miały katar lub infekcję ucha. Ale co z Molly? Molly siedziała przy drzwiach kuchennych, wałąc ogonem o podłogę i Gabby poczuła niepokój na myśl o przyszłości. Z Molly wszystko będzie dobrze, ale co ze szczeniakami? Co się z nimi stanie? Co będzie, jeśli nikt ich nie zechce? Nie potrafiła wyobrazić sobie, że odda je do schroniska lub do SPCA\*, czy jakkolwiek to tutaj nazywają, w celu uśpienia. Nie mogłaby tego zrobić. Nie zrobi tego. Nie każe ich zamordować.

Ale w takim razie, co ma z nimi począć?

To wszystko jego wina, a on sobie siedzi po prostu na tarasie, z nogami opartymi o blat stołu, zachowując się, jak gdyby nic go nie obchodziło.

Nie o tym marzyła, gdy na początku roku po raz pierwszy

---

\* SPCA – Society for the Prevention of Cruelty to Animals – Amerykański odpowiednik Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

ujrzała ten dom. Mimo że nie było to Morehead City, gdzie mieszkał jej chłopak Kevin, dzielił ich zaledwie kilkuminutowy spacer przez most. Nieduży dom liczył sobie prawie pół wieku i zgodnie ze standardami Beaufort zdecydowanie wymagał remontu, lecz widok na rzekę był zachwycający, ogródek dość duży, by Molly się wybiegała, a przede wszystkim mogła sobie na niego pozwolić. Wprawdzie z trudem, wliczając w to uzyskane pożyczki, lecz kredytodawcy byli ogromnie wyrozumiali w stosunku do takich osób jak ona. Wykształconych profesjonalistów.

Nie takich jak pan Mój-Pies-Będzie-Wolny i Nie-Pracuję-w-Piątki.

Odetchnęła głęboko, przypominając sobie jeszcze raz, że jej sąsiad może być naprawdę sympatycznym facetem. Zawsze machał do niej, ilekroć widział, że wraca do domu po pracy, i pamiętała jak przez mgłę, że gdy wprowadziła się do domu parę miesięcy temu, podrzucił jej na powitanie jako nowej sąsiadce kosz z winem i serem. Nie było jej wtedy w domu, lecz zostawił kosz na werandzie. Obiecała sobie, że skrobnie do niego krótki list z podziękowaniem, ale jakoś nigdy nie zebrała się, by go napisać.

Znowu podświadomie się skrzywiła. To tyle, jeśli chodzi o wyższość moralną. W porządku, ona też nie jest doskonała, ale sprawa przecież nie dotyczy zapomnianego listu z podziękowaniem, lecz Molly, psa-włóczykija tamtego mężczyzny i niechcianych szczeniąt. To chyba dobry moment, by omówić całą sytuację. Wszystko wskazuje na to, że jej sąsiad nie śpi.

Zeszła z tarasu i ruszyła w stronę wysokiego żywopłotu, który rozdzielał obie posesje. W głębi duszy pragnęła, by Kevin jej towarzyszył, lecz było to niemożliwe. Nie po dzisiejszej

porannej sprzeczce, która wybuchła po tym, gdy wspomniała od niechcenia, że jej kuzynka wychodzi za mąż. Kevin, pogrążony w lekturze działu sportowego w gazecie, nie odezwał się słowem, woląc udawać, że nie dosłyszał. Każda wzmianka o małżeństwie sprawiała, że jej chłopak milczał jak głaz, zwłaszcza ostatnio. Nie powinno jej to raczej dziwić – spotykali się od prawie czterech lat (korciło ją, by zwrócić uwagę, że o rok krócej niż jej kuzynka ze swoim narzeczonym) i przez ten czas dowiedziała się o nim jednej rzeczy, a mianowicie, że jeśli dla Kevina temat jest niewygodny, najpewniej będzie milczał jak zakłęty.

Ale przyczyną jej podenerwowania nie był ani Kevin, ani wrażenie, że jej życie nie jest całkiem takie, jak sobie wyobrażała w przeszłości. Ani nawet okropny tydzień w pracy, kiedy tylko w piątek trzy – trzy! – razy zwymiotowali na nią mali pacjenci, co stanowiło rekord wszech czasów w klinice, przynajmniej jeśli wierzyć pielęgniarkom, które nie starały się nawet ukryć uśmiezków i radośnie powtarzały tę historię. Ani nie była zła na Adriana Meltona, żonatego lekarza, który lubił dotykać jej, ilekroć rozmawiali, jego ręka zbyt długo pozostawała w kontakcie z jej ciałem, co ją krępowało. I z pewnością nie złościł jej fakt, że przez cały ten czas ani razu się nie broniła.

Nigdy w życiu, jej fatalne samopoczucie musi mieć coś wspólnego z panem Imprezowiczem, odpowiedzialnym sąsiadem, który przyzna się, że w równym stopniu co ona ma obowiązek znaleźć rozwiązanie ich problemu. A kiedy będzie mu to uświadamiać, być może wspomni, że jest odrobinę za późno na puszczenie muzyki na cały regulator (nawet jeśli to lubiła), zwyczajnie po to, by dać mu do zrozumienia, że mówi poważnie.



Gdy Gabby maszerowała po murawie, rosa zmoczyła czubki jej palców przez sandały, a światło księżyca znaczyło na trawniku srebrzysty szlak. Ledwie to zauważyła, głowiła się bowiem, od czego właściwie zacząć. Grzeczność dyktowała jej, by podeszła najpierw do drzwi od frontu i zapukała, lecz wątpiła, czy przy tak głośnej muzyce mężczyzna cokolwiek usłyszy. Poza tym chciała załatwić sprawę, gdy wciąż jeszcze była wzburzona i gotowa zdecydowanie stawić mu czoło.

Przed sobą wypatrzyła przerwę w żywopłocie i skierowała się w tę stronę. Prawdopodobnie właśnie wtedy przemykał się Nobby, by wykorzystać nieszczęsną, słodką Molly. Serce jej się ścisnęło i tym razem starała się podtrzymać w sobie to uczucie. To ważna sprawa. Bardzo ważna.

Skoncentrowana na swojej misji, nie zauważyła piłeczki tenisowej, która nadleciała ku niej w chwili, gdy wyłoniła się zza żywopłotu. Jej słuch zarejestrował jednak zbliżający się ku niej z oddali tupot psich łap dosłownie na sekundę przed tym, gdy została zwalona z nóg i runęła na ziemię.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).